

TEATR

Cała sala śpiewa z nami

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

Szukajcie, a znajdziecie. Chodziłem od teatru do teatru i szukałem przedstawienia, które byłoby warte obejrzenia. Najpierw podążałem szlakiem premier. Na Szwedzkiej 24 Botho Straussa „Czas i pokój”, w Dramatycznym „Kordian” w reżyserii Prusa, w Nowym „Panna Izabela” według „Lalki” w reżyserii Hanuszkiewicza. Chodziłem, oglądałem, czasem nawet serce mi zadrżało, ale każde z tych przedstawień miało więcej wad niż zalet, a „Panna Izabela” nawet same wady. Mogłoby się to przedstawienie nazywać „Garbata lalka” albo „Siedem sukien w błoto” — bo tyleż kreacji uszyto dla panny Izabeli i nic to nie pomogło. W końcu postanowiłem wybrać się do Rampy na „Big Zbig Show”, nienowe już przedstawienie, którego bohaterem jest śpiewający Zbigniew Zamachowski.

Nie była to wycieczka, lecz wyprawa. Rampa leży w najciemniejszym kącie Targówka, przedstawienie należy do drugo-zmianowych, czyli zaczyna się o 22, kiedy aktorzy mają już za sobą spektakl o 19 w rodzimym teatrze. Wiadomo, że jeśli się nie ma samochodu, to z teatru trzeba będzie wrócić taksówką. Mimo tych niedogodności nie było oczywiście (drogich) biletów. Używając wyrafinowanych zabiegów i całej przebiegłości, na jaką pozwolić może sobie człowiek kulturalny, a na dodatek recenzent „Tygodnika Powszechnego”, zdobyłem wejściówkę. Tłumu, jaki szturmował na pięć minut przed rozpoczęciem spektaklu kasę, w której nie było już ani jednego biletu, nie widziałem w teatrze od lat. Potem na widowni okazało się, że są kłopoty nawet z miejscami na podłodze i byli tacy, którzy stali, nie narzekając, przez okragłe trzy godziny, bo tyle trwa przedstawienie.

Polska Ludowa żyła festiwalami. Do festiwalu państwowych doszły jeszcze fes-

tiwale opozycji i było ich już tyle — mniej lub bardziej absurdalnych — że nikt pewnie nie umiałby ich wyliczyć. Magda Umer, która wyreżyserowała „Big Zbig Show”, wybrała 15 festiwalu, a gwiazdą lub zwycięzcą każdego uczyniła Zamachowskiego. Opole, Festiwal Piosenki Marynarskiej w Krakowie (!), piknik Country w Mrągowie, Piosenki Czechosłowackiej w Ustroniu, Sopot, Jarocin, Pieśni Religijnej, Folklorystyczny w Kazimierzu, Festiwal Kapel Podwórkowych w Przemyślu, Wokalistów Jazzowych w Zamościu, Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, pieśni „Solidarnościowych” i wreszcie piosenka wojskowa z Kołobrzegu. Pomyśl na przedstawienie tyleż prosty i efektowny, co banalny. I jeśli do Rampy trafi poważny i smutny redaktor poważnego i smutnego pisma fachowego, to na pewno wybrzydzi. Powie, że to same tandetne i powierzchowne grepsy, parodia najprostszych schematów, tanie dowcipy i samograje. Jeśli smutny redaktor byłby jeszcze smutniejszy tego akurat dnia, w którym wybrał się do Rampy, to nie uszłoby jego uwadze, że spektakl kpi z gustów i upodobań ludzi prostych, którzy do teatru nie chodzą, a mieszkają w blokach na Targówku, i zauważyłby, że nie bawi go śmiech cudzym kosztem. Ale wiadomo: psom i krytykom bez poczucia humoru do teatru wstęp zakazany.

Konferansjerami na wszystkich festiwalach są Wojciech Mann i Krzysztof Materna. Ubrani odpowiednio do okazji w mundur lub koloratkę (spektakl warto zobaczyć choćby dlatego, żeby ujrzyć Manna w zielonym mundurze, miękko spływającym z ogromnego brzucha), smoking lub porozciągany sweter, a wygłaszają nieprawdopodobne frazesy, nadające się do podręczników pustostlowia, których

jeszcze nie ma, ale na pewno już niedługo będą, bo po książce uczącej jak składać serwetki, pora na samouczek dla konferansjerów. Festiwal w Opolu podkreśla „polskość teatru i zawartej w nim publiczności”, Festiwal Moniuszkowski „przynosi sukcesy i refleksje”. Konferansjerzy upajają się własnym słowotokiem i zachłystują komplementami pod adresem najlepszej publiczności, tej właśnie tu w Opolu, tu we Wrocławiu, tu w Sopocie. Piosenki inscenizowane są prosto, można by nawet powiedzieć — chałupniczo. Nie ma wymyślnej scenografii. Miejsce tworzy detal. Nic nie przeszkadza i nie przykrywa talentu Zbigniewa Zamachowskiego, a jest on aktorem zdolnym zagrać chyba wszystko, nawet wbrew własnym warunkom fizycznym. I oto najprostszy i jedyny przepis na show: weź jednego świetnego aktora, dodaj kilku mniej zdolnych, poszukaj inteligentnych i sympatycznych konferansjerów i wymieszaj. Reszta nie ma większego znaczenia.

„Big Zbig Show” to także opowieść o kłopotach ze zdobyciem pieniędzy na spektakl. U Magdy Umer zjawia się rzekomo bogaty biznesmen, Polak z Ameryki o wdzięcznym nazwisku Janek Parter (gra go także Wojciech Mann), i obiecuje wielkie pieniądze w zamian za show, który spodobałby się jego żonie. W ciągu trzech godzin Parter trzy razy sięgnie po portfel, by obsypać zafrasowaną antrepreneurkę groszem w trzech ratach: sześćdziesięcioma, czterdziestoma (razem już one hundred) i dziesiątką dolarów. Więcej pieniędzy nie będzie.

Czy można poważnie traktować ten sceniczny żart? Jak najbardziej. To już drugie, po „Zimy żal”, przedstawienie w Rampie, na które nie sposób się dostać. Niespodziewanie Warszawa ma swoich ulubionych aktorów i to w pokoleniu, któremu daleko jeszcze do czterdziestki. Jednym z nich jest Zbigniew Zamachowski, drugim z całą pewnością Wojciech Malajkat. Obaj na co dzień występują w Teatrze Studio, grają w trudnych przedstawieniach Jerzego Grzegorzewskiego. Zdobyte tam umiejętności połączone z wrodzonym zapewne i niepowtarzalnym talentem, przełożone na zabawę i bezpretensjonalną rozrywkę, dają olśniewające rezultaty. I... cała sala śpiewa z nami.

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

Teatr Rampa w Warszawie: „Big Zbig Show”, reż. Magda Umer